

Kto uratuje wieśniaka i T. Dramatyczny, Warszawa, 1964/65

Z różnych beczek

PRZEZ trzy kolejne wieczory teatry warszawskie uczęsto- waly nas trzema premierami, z których każda nadawałaby się do oddzielnego omówienia, gdy- by nie obawa przed dezaktualiza- cją recenzji.

Teatr Dramatyczny w swej Sali prób wystawił sztukę Gilroya „Kto uratuje wieśniaka” w przekładzie Ireny Babel, reżyserii J. Swiderskie- go i scenografii Z. Strzeleckiego. Teatr Polski na scenie kameralnej wystawił komedię Vercorsa, opartą na jego własnej opowieści, „ZOO, czyli poszukujący prawdy” w prze- kładzie M. Rudzińskiego, reżyserii K. Skuszanki i scenografii T. Targoń- skiej. Teatr Powszechny wystawił „Przedwiośnie” Zeromskiego w adap- tacji dramatycznej J. Adamskiego, inscenizacji i reżyserii A. Hanuszkie- wicza, scenografii K. Pankiewicza i z muzyką A. Blocha.

Staraj się teraz recenzencie o swiętość, która nie stałaby się zwykłym odfajkowaniem!

Z tej porcji do odfajkowania na- daje się tylko sztuka Gilroya. Wier- zymy na słowo przytoczonym w programie zapewnieniem o wliczaniu się sztuki „Kto uratuje wieśniaka” do czołowej amerykańskiej twórczo- ści dramatycznej. Na miary europej- skie jest to jednak dzieło tuzinko- we. Na próżno inscenizacja próbuje to cyzelować jakby co najmniej dzie- ło Eliota. Ten pospolicie naturali- styczny tekst mogą ratować tylko szczególne popisy aktorskie. Trzeba sprawiedliwie przyznać, że tylko Halina Dobrowolska swoją rolę He- leny Cobb, nieszczęśliwej w mał- żeństwie, zagrała z całym przeję- ciem i precyzją, podczas gdy W. Golas i E. Fetting w rolach Alberta Cobb i Johna Doyle albo zaufali swej rutynie, albo nie znaleźli w tekście dość impulsów do wyjścia ponad swój normalny styl, nie spra- wiając tym samym ani zawodu, ani miłych niespodzianek, które by roz- proszyły chęć ziewania.

„ZOO” Vercorsa nie należy do tak dziś spospolitowanych przerwówek powieści na scenę, które stają się upraszczającymi brykami czy komik- sami. W tej formie, którą zobaczy- liśmy, jest to całkiem samoistny ut- wór, mimo że na ten sam temat co powieść „Zwierzęta niezwierzęta” tegoż autora. Odpadła barwna egzo- tyczna fabuła, ale problem: jakie jest kryterium przynależności do ga- tunku ludzkiego, nabral barw kon- fliktu sycającego dramat. Autor ze względu na szczęśliwe zakończenie i swoje przekonanie, że problem zo- stał rozwiązany, nazwał sztukę ko- medią sądową, zoologiczną i moralną. Co prawda, idąc dalej, można by zakwestionować ową komedio- wość, a więc nie uznać sprawy za już załatwioną. Przecież w sztuce dowiodło się na razie przynależności tropików — fantastycznych istot z pogranicza człowieka i małpy tylko do rodzaju ludzkiego, skoro możliwe było skrzyżowanie. Ale nie została przez to jeszcze dowiedziona przy- należność do gatunku, bo rezultat skrzyżowania został zabity w nie- mowlectwie, a więc przed wykaza- niem się pełną zdolnością do roz- woju, między innymi do dalszej re- produkcji. Gdyby to sobie uświadom- ili sąd oraz bohater, który w tym wypadku zabijałby daremnie i przed- wześnie swoje dziecko, i gdyby na tym stanowisku, co mówię, stanął autor, miejsce drapieżnej komedii za- jąłby dramat. Zresztą w ogóle do- chodzenie prawdy przez zabójstwo nie jest rzeczą przyjemną, niezau- leżnie od tego czy ofiarą pada calo- wiek czy małpa, choć to drugie przy- wykliśmy uważać za zło mniejsze.

Natomiast z przyjemnością stwier- dzamy serię świetnych popisów ak- torskich, pomysły inscenizacyjne i efektowną, choć oszczędna scenogra- fię. Świącą tryumfy w swoich ko- mediowych, niekiedy aż farsowych zagrywkach S. Lindner jako doktor Figgis, W. Hańcza jako sędzia, E. Wilamowski jako minister, M. Dmo- chowski jako prokurator, Cz. Wolfej- ko jako adwokat, S. Zeleński jako badacz, W. Nanowski i S. Jaśkie- wicz jako profesorowie i niemata gromadka innych. A już szczególnie upamiętnili się A. Leszczyńska jako Lady Draper i B. Pawlik jako Ojciec Dollingham. Dowcipnym pomysłem,

nie pozbawionym filozoficznego sen- su, jest ucharakteryzowanie dozorców ZOO w sposób mylący ich ze zwierz- ęcym otoczeniem.

Na „Przedwiośnie” do Teatru Po- wszechnego szło się z wyraźnym nie- pokojem, czy nie nastąpi jakaś nowa profanacja arcydzieła epickiego przez teatr. Nie nastąpiła, przeciwnie moż- na mówić o triumfie teatru. Oto zaś elementy zwycięstwa:

1) Kulturalna, nie goniąca za ta- nim efektem adaptacja, w dodatku, co się chwali, dokonana nie przez reżysera, czy kogoś z kierownictwa danego teatru, a więc pozwalająca się skupić adaptatorowi wyłącznie na odpowiedzialnej pracy nad tekstem.

2) Pomysłowa i szlachetna insecni- zacja, która umiała wyważyć ele- menty o pełnym brzemieniu tragicz- nym i te, które z dystansu przyjmu- jemy jako stylizacje.

3) Cugle, które sobie nałożył sceno- graf Pankiewicz, malarz o przebu- jnej wyobraźni, tym razem przyjął wędzidło bezwzględnej służebności. Był jak ten niewidzialny wierzcho- wiec, wprowadzony na scenę, nie- dostrzegalny, a przecież obecny.

4) Przekonywająca gra aktorów. Czuło się z jakim pietysmem podeszli do odpowiedzialnego zadania. Wo- bec licznej obsady niech nikt nie poczyta za ujme, że wymie- nię tylko kilku, najbardziej słu- gestywnych: A. Hanuszkiewicz był Cezarym Baryką, J. Łuszczewski i E. Wieczorkowska jego rodzicami, E. Wawrzon jako Karolina, Z. Grabowska jako Wielosławska, S. Mikułski jako Hipolit, J. Pieracki jako ksiądz Anastazy, M. Lorentz i W. Mazurkie- wicz grające na zmianę rolę Laury, to tylko najbardziej zauważalni w tym pamiętnym przedstawieniu.

JERZY ZAGÓRSKI